

— Słucham przyrody.

— To będziemy się częściej spotykali.

Zabrział dzwonek i zrobił się rumor w sali, przesuwanie krzeseł, zakłębilo się od przecho-
dzących w różnych kierunkach, a gdy się cokol-
wiek uspokoiło i uporządkowało, szepnął Edmund
do Olgi.

— Tam na prawo, to konserwatyści, trzymają
się dawnych haseł historycznych z ustępstwem dla
pracy organicznej.

Spojrzała w tę stronę; byli tam młodzi ludzie,
przeważnie z elegancją ubrani, w modnych koł-
nierzykach i krawatach, pogodni, dobrze odżywieni,
rozprawiający między sobą szeptem z głośniejszymi
wybuchami śmiechu.

— Środek, to partya Cypriańskiego — obja-
śniał dalej — oni tu rej wodza.

— A inni?... a reszta? — spytała.

— Część idzie za Żaleckim i Waldmanem, tro-
chę dzikich, trochę neutralnych...

— A koleżanki?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie przerwało
przemówienie przewodniczącego, który po przeczy-
taniu przez sekretarza protokołu z ostatniego zgro-
madzenia, zaznaczył w krótkich słowach porządek
dzisiejszego.

Były tam dwie sprawy, należące do wewnątrz-
nej gospodarki towarzystwa, a najgłośniejsza trze-
cia, dotycząca odezwy „Kółka sławistów“, propo-
nująca przyjęcie tegoż „Kółka“ jako sekcji do to-
warzystwa „Zjednoczenie“.

Pierwsze dwie kwestye załatwiono zgodnie
z wnioskami wydziału, co do trzeciej wydział po-
zostawia rozstrzygnięcie zgromadzeniu członków,
zawiadamiając, że „Kółko“ obowiązują się płacić
pewną kwotę na lokal.

Nastała chwila cisza i wśród niej odezwał
się z prawej strony jeden z członków:

— Proszę o głos!

A po udzieleniu mu tegoż przez przewodniczą-
cego, wstał z krzesła młody człowiek, niewyraźny
blondyn ze starannie uczesanymi włosami, białą
ręką, ozdobioną pierścieniem, poprawił wysoki
kołnierzyk, przyglądał małe baczki, i głosem ró-
wnym, pewnym siebie, zaczął przemawiać za przy-
jęciem „Kółka“ ze względów koleżeńskich, a gło-
wnie praktycznych.

— Proszę o głos! — zawołał ostrym, niemal
syczącym tonem Cypriański, co prezes zanotowa-
wszy, skinął mu głową.

Pierwszy mówca dowodził cyframi, że skoro
„Kółko“ będzie płaciło umówioną kwotę, dozwoli
to „Zjednoczeniu“ wprowadzić różne udogodnienia
dla członków, a przytem przyjęcie „Kółka“ będzie
dodatnio wpływało na poziom zajęć wśród człon-
ków, wreszcie streścił się we wniosku za przyję-
ciem „Kółka“, jako sekcji „Zjednoczenia“.

Otoczający go koledzy bili mu brawo, ściskali
mu rękę, co on przyjmował z radosną skromnością,
lecz spostrzegłszy, że większość przyjęła wywody
nietylko obojętnie, ale ironicznymi wykrzyknikami:

— Oszczędny z cudzej kieszeni!

— Bilardu mu się zachciewa!

— Kolacyjki ze szampanem!

— Koleżeństwo faryzeusza!

— rzucił na zgromadzonych lekceważące spojrze-
nie i mruknął jakieś wyzwisko, na co jego sąsie-
dzi głośno się zaśmiali.

Olga, wysłuchawszy jego przemowy i ostrych
przycinków opozycji, zwróciła się zdziwiona do
Edmunda:

— Rozsądnie mówił... czego oni chcą od niego?

— Zaraz posłyszysz — szepnął — już wstaje
Cypriański.

Wysoki, dobrze zbudowany, podszedł do stołu
przewodniczącego, spojrzał bystro po zgromadze-
niu, rozjaśnił surowy wyraz twarzy i przemówił
z lekkim, sarkastycznym uśmiechem:

— Poprzedni mówca, ze skromnością, godną
uznania, przyjął miejsce ekonoma naszego towarzy-
stwa... i jako wzorowy ekonom obliczył na palcach,
ile wielmożny dziedzic zyskuje, gdy pachciarzowi
wynajmie kawałek swej roli. Najpierw idzie go-
tówka, następnie litościwe przytulenie pachciarza,
wreszcie umniejszenie myślenia, bo pachciarz bę-
dzie się trudnił nauką i nauczaniem dziedzica. Tego
rodzaju rozumowania, obliczenia i gospodarka do-
prowadziły Polskę do upadku, a my za nich dźwi-
gamy teraz mękę niewoli i poniżenia.

— Brawo! brawo! wołali jego zwolennicy, gdy
z prawej dały się słyszeć głośne syki niezadowo-
lenia.

Lekko skłonił głowę, spojrzał z ironią na prze-
ciwników i mówił płynnie:

— Poprzednik mój z lekkomyślnością wiejskich
polityków zdecydował przyjęcie „Kółka“, uważając

za zbyt ciężką pracę zastanowienie się, co zacy-
jest ono, z jakich ludzi się składa, jakie są jego
cele i zamiary. Otóż uważam za konieczne wyre-
czyć kolegę pod tym względem.

— Obejdzie się, sam wiem — zawołał zape-
rzony, co wywołało ogólną wesołość.

— Pozostaje mi tedy zaznajomić słuchaczy
z głęboką wiedzą kolegi — skłonił się z wielką
uprzejmością — zatem najpierw pytanie co to sla-
wizm? Chimera, wyległa w mózgu moskiewskim,
aby upozorować zabór części Europy; zaprowadzić
posłuch knuta; zniszczyć różnice etnograficzne
i wszystkie ludy przetopić w jedną bryłę, wiel-
biącą tylko Boga prawosławnego w niebie a cara
na ziemi.

— Przesada! — odezwał się ktoś z głębi.

— Dowodem tego historia od wchłonięcia Moo-
dwinów, Czykców, Czeremisów, Baszkirów, Tata-
rów, polyania Rusinów i tylu pomniejszych lu-
dów, a skończywszy na Polsce, lecz ten smok mo-
skiewski udławi się nią i zginie, jeśli zgodnie,
z całą świadomością celów i środków będziemy
pracowali.



Odpowiedź na to ostatnie pytanie przerwało przemówienie przewodniczącego

Znów rozległy się brawa.

Olga niemal z zachwytem wsłuchiwała się w sło-
wa Cypriańskiego, odżyła w niej przygaśnięta nie-
nawieść Polki, za wszystkie męki, krzywdy, upoko-
rzenia. Wspomniła ciche, ukradkowe opowiadania
o wysyłkach na Sybir, do katorgi, do strasznych
więzień; o znęcaniu się nad bezbronnymi, o mor-
dowaniu i wieszaniu bojowników wolności... a gdy
z powodu okłasków umilkł, spojrzała odru-
chowo, z pewną nabytą dawniej trwogą, czy nie
wkroczy do sali żandarm moskiewski i nie zaare-
sztuje Cypriańskiego. Zorientowawszy się, gdzie
jest, uśmiechnęła się zadowolona i teraz drażniły
ją brawa, przeskakujące mówcy.

— „Kółko“ nie jest polityczne, lecz naukowe —
zawołał ktoś głośno z prawicy.

— Zgoda, moi panowie — skinął głową Cy-
priański — „Kółko“ jest naukowe i odciąga na-
sze polskie siły od tak zaniedbanej folklorystyki
narodowej, do nauki języków, jeśli nie wrogich,
jak moskiewski, to obojętnych. Niechże się uczeni,
specjaliści tem zajmują i zaznamiają nas z re-
zultatami, ale nie żywy naród, który w pierwszym
rzędzie musi bronić swego języka od Moskali, Niem-
ców, Rusinów, Czechów. Najpierw trzeba nam żyć
i żyć, a dopiero zagłębiać się w slawizmy teo-

tyczne — uśmiechnął się drwiąco. — A teraz kto
należy do owego „Kółka“ sławistów?

— Proszę o głos! — rzekł głośno Żalecki.

— I ja także! — zawołał Waldman, brunet
z kędzierzawymi włosami i brodą, kręcąc się nie-
spokojnie na krześle.

— „Kółko“ składa się z dwudziestu człon-
ków — mówił dalej Cypriański — którzy należą
do różnych narodowości. Jest tam sześciu Polaków,
czterech Rusinów, dwóch Ormian, pięciu Niemców
i w dodatku trzech żydów. Ładne towarzystwo...
słowiańskie — zaśmiał się, a wraz z nim więk-
szość. — Otóż takich pachciarzy my nie chcemy!

— Słusznie!... Prawda!

— My, Polacy, zagrożeni jesteśmy ze wszyst-
kich stron. Nas moskiewczą, germanizują, litwini-
zują, rusyfikują, czechizują i żydowszczyzna pcha
się do nas wszelkimi szparami. My musimy wy-
tworzyć ścisłą, twardą, nieprzepuszczalną narodo-
wość, okopać się w naszej twierdzy, i nie dopusz-
czać do niej żadnych wrogów i szpiegów. Każdy
z nas jest żołnierzem, każdy musi iść w ten bój
o życie narodu i tylko zjednoczeni i uświadomieni
celowo zwyciężymy, a kto nie jest z nami, ten

przeciwko nam i tego mu-
simy się pozbyć. Z tego
powodu wnoszę odrzucenie
propozycji „Kółka“ tak
urozmaiconych sławistów!

Rozległy się huczne
oklaski, nawet przeciwni-
cy, porwani jego siłą i
stanowczością przekonań,
bili brawo. Również ko-
leżanki, ujęte jego sarka-
zmem i wytwornym zacho-
waniem się, nie szczę-
dziły uznania, a Olga sze-
pnęła do koleżanki:

— Ten człowiek stwo-
rzony na wodza!

— I do pewnego sto-
pnia jest nim w swej par-
tyi... uważajcie, Żalecki
mówi.

Wstał, zapiął szczerle
marynarkę, a nie zna-
lazłszy jednego guzika,
zmieszał się na chwilę,
wreszcie machnął ręką, od-
garnął w tył włosy, spa-
dające mu na czoło i o-
parłszy ręce o poręcz krze-
sła, zaczął:

— Lubie nagość w
sztuce, gdy tworzy ją ar-
tysta piękną i harmonij-
ną, ale brzydka nagość
sprawia mi, mówiąc deli-
katnie, przykrość... a ta-
kim przedstawił się nam
z wielką odwagą kolega
Cypriański.

Spojrzeni sobie w oczy.

Żaleckiego niebieskie
oczy nabrały coś z poły-
sku i zimna stali, gdy
znów Cypriański patrzył
z olimpijskim spokojem
z lekkim, drwiącym u-
śmiechem.

— Wygłosił on program tak niski, ciasny, egoi-
styczny, że chyba tylko ślimak, obnoszący swą sko-
rupę, mógłby się zdobyć na podobny... a i w to
wątpię. Bo i jaki środek uszczęśliwienia i uzdro-
wienia Polski on wynalazł? Oto zbudujmy dom
własnymi siłami, dla nas samych, otoczmy go pa-
lisadami, rowami, wilczymi dołami, zabijajmy ka-
żdego, co usiłuje się zbliżyć, wroga czy przyja-
ciela, jeśli tylko nie jest naszym... i nastąpi era
szczęśliwości niezamąconej. Ależ my, kolego Cy-
priański, stanowimy tylko jedno z ogniw wielkiego
łańcucha narodów, ależ my pod grozą skostnienia
i śmierci nie możemy się wyłączać i zamykać w cia-
snej skorupie; ależ naród nie żyje powietrzem ze
swoich pól i gór, ale z prądów z zachodu i wscho-
du, południa i północy; ależ, gdziekolwiek padnie
hasło wolności, my musimy je odczuć galwanicznie...
a kolega żąda, abyśmy się zamknęli w ciasnej
klatce narodowościowej, odgradzili się murem nie-
nawieści od wszystkich sąsiadów; dusili się w za-
tęchłym powietrzu własnych cnót i pochwał, cu-
dzych zbrodni i wyklinan...

(Ciąg dalszy nastąpi).